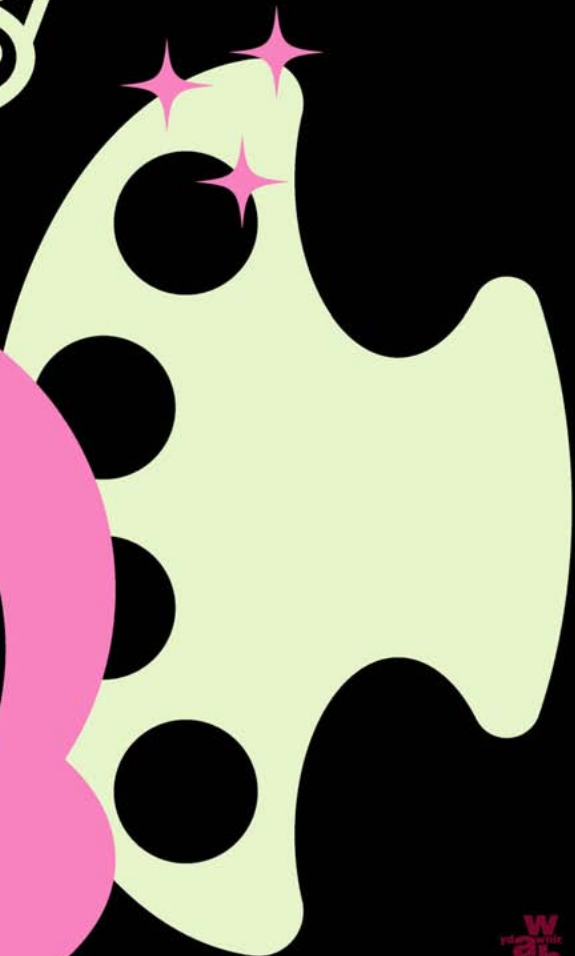


JOANNA

SZYMCZYK

Ewa i złoty kot

MROCZNA
SERIA



Joanna Szymczyk, ur. w 1974 roku w Łodzi, jest z wykształcenia kulturoznawcą, z zawodu krytykiem filmowym, publicystką, copywriterką. Publikowała artykuły o filmie, internecie, kulturze i stylu życia m.in. w „Maksie”, „Machinie”, „Cosmopolitan”, „Filmie”, „Opcjach”. Pracuje w wydawnictwie prasowym. Mieszka w Warszawie. Ma kota. *Ewa i złoty kot*, jej debiutancka powieść, to pierwszy tom cyklu – autorka pracuje już nad następną częścią.

Wydawnictwo
ab

Wydawnictwo
ab



w serii ukazały się:

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*



MRO CZNA
SERIA

JOANNA

SZYMCZYK

**Ewa i złoty
kot**

Podziękowania

Niektóre rzeczy zwyczajnie nie mogą się wydarzyć bez udziału osób trzecich. Należą do nich morderstwa i książki. Ta, dla przykładu, nie powstałaby, gdyby nie święta cierpliwość Piotra, fachowe rady mojej Mamy, krytyczny wkład Agnieszki Gozdek oraz doping Joasi Leszczyńskiej, Kasi Prażnowskiej, Marty, Krystyny i reszty moich przyjaciół, w tym kota Błażeja.

Pod paragraf współudziału podpada niewątpliwie mój Wydawca. Dziękuję Beacie Stasińskiej i całemu zespołowi W.A.B. za życzliwość i zaangażowanie.

Specjalne podziękowania dla Maurycego, z którym mam nadzieję popęlić jeszcze niejedną fantazję.

Autorka

Czwartek, 14 lutego

- ...Bojkotuję! - wrzeszczała Ewa Wiśniewska, przyciskając komórkę do ucha i starając się nie wpaść pod samochód. - To wszystko nakręcona marketingiem psychoza! Chodzi tylko o to, żeby popychać na kilogramy bądziej gadżety!

- Nie musisz krzyczeć, tak tylko pytam - odparła zdziwiona Mariola, asystentka naczelnego „Bazaru Warszawskiego”. - A dzwonię, bo szef chce wiedzieć, kiedy oddasz tekst o Rydzowej. Zdązysz do jutra?... Wysłaś tak nagle...

- Tekst będzie na jutro! A wyszłam, bo leciałam na pociąg! Teraz jestem w Łodzi! Powiedziałam już Bożence, że to ważna sprawa rodzinna! Czekaj, dostałam SMS-a, muszę skończyć...

„Nieznany wielbiciel... albo ten barman z «Aurory»... W ostateczności Adam...” - Ewa przystanęła, gorączkowo naciskając guziki telefonu. Pech chciał, że znajdowała się akurat na środku ulicy. Zabłocony van w ostatniej chwili wyhamował na śliskiej nawierzchni. Ignorując wściekłą pantomimę kierowcy, z godnością przemieściła się na chodnik. Tam ostatecznie stwierdziła, że hasło „nowa wiadomość” kryje jedynie informację o zaleganiu z rachunkiem za telefon i groźbę odłączenia tegoż.

„A nie mówiłam? - podjęła marsz, omiatając nienawistnym spojrzeniem babę w sztucznym futrze tryumfalnie dzierżącą balonik w kształcie serca. - To beznadziejne

święto, wymyślone tylko po to, by single czuły się gorzej. Normalni ludzie nie wysyłają sobie durnych SMS-ów. Właściwie... – zirytowana przedarła się przez dziki tłum kłębiący się pod kwaciarnią na rogu ulicy Kopcińskiego – ...byłabym wręcz rozczarowana, gdyby któryś z moich licznych absztyfikantów zniżył się do świętowania walentynek...”

Przebieła jezdnię i skręciła między budynki, zagłębiając się w willową część dzielnicy Radiostacja. „Uczucia winny być wyrażane spontanicznie!” – surowo podsumowała rozważania. Jakby w odpowiedzi czarno-biały kundel strzegący którejś posesji wściekle się rozszczękał. Ujadanie podjął basem jego sąsiad bernardyn i przekazał dalej krzywonożej krzyżówce parówki z terierem. Ewa przyspieszyła. Serdelterier nie odpuszczał, dyrdając wzdłuż chodnika i hałasując za trzech. Ścigana psim jazgotem dopadła z ulgą furtki domu przy Zelwerowicza 8.

U progu przedwiośnia willa przesłonięta od ulicy świerkiem wyglądała raczej ponuro. Cóż – tego typu masywnych domostw nie budowano gwoli estetycznych wzruszeń. Ewaryst Wiśniewski, który kupił dom na początku lat trzydziestych, poczucia piękna nie posiadał zresztą za grosz. Miał za to świetnie prosperującą kancelarię adwokacką, dzieci i konserwatywne poglądy. Wszystko to znakomicie pomieściło się na czterech kondygnacjach obszernego domostwa.

Ewa pchnęła drzwi wejściowe połyskujące mosiężnymi tabliczkami: „Studio Architektury. Piotr Dubois” i „Marianna Wiśniewska-Dubois. Kancelaria prawna”. Biura na parterze były już zamknięte. Po klatce schodowej snuł się szlachetny zapach gorącego ciasta. Węsząc, ruszyła po schodach. Mieszkanie na pierwszym piętrze zajmowała jej babcia, Elwira. Czyżby?... Nie. Zapach stanowczo zapraszał wyżej. Na drugim piętrze kiedyś, w odległej epoce, mieszkała z rodzicami; obecnie pokoje wynajmowało małżeństwo z córką. Aromat był tu wyraźniejszy, ale jego epicentrum szczęśliwie

znajdowało się gdzie indziej. Bliska omdlenia z łakomstwa dotarła do ozdobionych witrażem drzwi poddasza. Zanim dotknęła dzwonnka, otwarły się na oścież. Zapach ciasta buchnął z siłą uwertury do *Tannhäusera*. W jego oparach objawiła się kruczowłosa kobieta okutana kaszmirowym szalem.

- Ewunia! - zawyła. - Pójdź w me ramiona, dziecinko!

- Oj, dobrze cię widzieć, Marianna - zastękała Ewa, gdy tylko progresywnym niedźwiadkiem wturlały się obie do przedpokoju. - Ale mów mi zaraz, co to za ważna sprawa, o której nie można rozmawiać przez telefon... - nagle zamarła. - Rany, chyba nic złego z babcią?

- Coś ty, Elwira jest w Krynicy - uspokoiła ją ciotka. - Zwyczajnie uznała, że potrzeba jej odmiany i towarzyskiego ożywienia. Jakby nie wystarczały jej cosobotnie brydzyki w zaufanym gronie, przewodniczenie Towarzystwu Szachisty Seniora, wolontariat w tutejszej szkole specjalnej oraz około setki innych sprawek, którym oddaje się z zapalem godnym podziwu...

- Zwłaszcza że rok temu stuknęła jej siedemdziesiątka - dodała Ewa, wysuplując się z kurtki. - Mam nadzieję, że to dziedziczne.

- Długowieczność czy dziwactwa?

- Jedno pozwala cieszyć się drugim - odrzekła sentencjonalnie, rozglądając się po hallu. - A to co? - z obrzydzeniem wskazała brodą spory stosik różowo-czerwonych ohydztw piętrzący się na stoliku pod lustrem.

- Walentynki, robaczku. Myślisz, że jak mam dwie dorosłe córki, to już ze mnie stare próchno, na którym nikt oka nie zawiesi? - Marianna z godnością przerzuciła przez ramię koniec szala.

Ewa westchnęła. Uroda jej ciotki znacząco podwyższała statystyki zgonów na serce wśród członków łódzkiej palestry, o czym Marianna świetnie wiedziała. Falujące włosy, pełna figura, profil królowej, oczy i usta nieustannie goto-

we do uśmiechu, cera, której pozazdrościłaby jej dziewczyna o dwadzieścia lat młodsza... W każdym razie Ewa zazdrościła.

- Uważam, że obyczaj wysyłania sobie tandetnych pocztówek i głupawych SMS-ów to czyste kretyństwo - zadeklarowała twardo.

- Ha, znowu nic nie dostałaś? - ciotka pokiwała ze zrozumieniem głową. - Nie martw się, moja śliczna. Mówiłam ci: onieśmiasz mężczyzn. Chodź do salonu, rozpałam w kominku. Nalej sobie koniaczku na rozgrzewkę, a ja sprawdzę, co z ciastem.

Popchnęła bratanicę w głąb mieszkania, zanim ta zdążyła wyrzucić z siebie przemówienie na temat spontanicznych dowodów uczucia i przywiązania, o ileż cenniejszych niż... Widok płonących szczap i ledwo napoczętej butelki zacnego trunku odebrał jej wrodzony dar wymowy.

- Nie ma głupich, idę z tobą. I zabieram butelczynę! - krzyknęła w stronę kuchni.

Mieszkanie Marianny Wiśniewskiej-Dubois było ogromne i bardzo piękne. Zdaniem kochającej rupiecie Ewy, zyskiwało na urodzie z każdym rokiem upływającym od rozwodu jego właścicielki. Nad obsesyjnym minimalizmem projektu Piotra Dubois zaczynało wreszcie górować swojskie bałaganiarstwo. Ewa przypomniała sobie wieczne awantury z przybrany tata: o nieporządek, o rozsypane kredki, o pobazgraną kredą ścianę. Uśmiechnęła się na widok porozrzucanych teraz swobodnie po salonie papierów i gazet, marokańskich i wschodnich poduszek, amatorskich - niezbyt dobrych, za to kolorowych - obrazów wiszących i stojących pod ścianami.

- Widzę, że stworzyłaś nowe arcydzieło - zagadnęła ciepło, wchodząc do kuchni. - Widziałam coś jakby kota tonącego w budynku malinowym.

- To Pajetka na różowej sofie - warknęła Marianna, nie odwracając się od piekarnika. - Pies, nie kot, nawet ślepy

to widzi. Malowałam na zamówienie, ale Madzia powiedziała, że u mnie ten obraz będzie się czuł lepiej.

- Pewnie, pewnie - przytaknęła skwapliwie Ewa, rozlewając martel do dwóch koniakówek. - Nawet ślepy to widzi. Powiedz lepiej, czemu musiałam się urwać z kolegium w środku tygodnia. Co to za sprawa?

Marianna usiadła przy stole i ujęła w dłoń kieliszek.

- Ano widzisz, kochana, smutne jest życie starzejącej się rozwódki - westchnęła. - Nie ma do kogo ust otworzyć, ciastem uczęstować. Agnieszka dzwoni z Ameryki raz w miesiącu, moja matka, a wasza babcia samolubnie zajmuje się sobą, a ciebie nie sposób wyrwać ze szponów imperium prasowego...

- Rozumiem. Odkryłaś u siebie pierwsze objawy rozmiękczenia mózgu i postanowiłaś niezwłocznie wezwać pomoc - przerwała Ewa. - Bardzo słusznie, doktor jest już na miejscu. Masz, łknij sobie. I zacznij mówić do rzeczy albo spadam.

- Uch, przedni ten koniak. Prezent od wdzięcznego klienta, wiesz, pana Jasia...

- Ach, pana Jasia. To miłe z jego strony, prawda? Właśnie szykuję tekst o spekulacji gruntami, może mnie z nim wreszcie poznasz, zrobię wywiad?

- Cicho, idiotko - zdenerwowała się Marianna. - Ja zajmuję się sprawami cywilnymi, nic mi nie wiadomo o żadnych spekulacjach.

Ewa spojrzała na nią spod oka, ale powstrzymała się od złośliwości.

- Mniejsza zresztą o Jasia - pani Dubois postanowiła opuścić grząski teren. - Mam do ciebie prośbę. A rzecz jest skomplikowana, postanowiłam więc cię tu zwabić i wszystko ci wyłuszczyć w cztery oczy - wzięła głęboki wdech. - Otóż są pewne sprawy finansowe, które łączą mnie z byłym mężem. Po rozwodzie nie chcieliśmy dzielić majątku, głównie ze względu na ciebie i Agnieszkę. Kapi-

tałem zawiaduje przyjaciel rodziny, Henryk Gagosian. To głównie dzięki niemu babcia może robić mniej więcej, co chce (a wiesz, że ma fantazję), Agnieszka studiować w Ameryce, a ty zarabiać grosze w tej twojej redakcji. Wiesz, interesy nie idą tak dobrze jak kiedyś. Firma Piotra jest na skraju bankructwa...

- Bo on sam zajmuje się renowacją kościoła w jakiejś dziurze w Szwajcarii, zamiast dopieszczać klientów - wtrąciła Ewa. - Tak, tak, kryzys... - zabuczała w lampkę koniaku. - A w ogóle to nie zarabiam wcale groszy, piszę coraz więcej i, wybacznosć, coraz lepiej. A jak dostanę Nagrodę Młodych Dziennikarzy, to kupię sobie samochód i...

- Jasne, kochanie. Nie chciałam cię urazić - Marianna pogładziła Ewę po policzku. - Wiesz, że jestem z ciebie dumna. Ale czekaj, o czym to ja...?

- O bankructwie.

- Jakim znowu bankructwie? O dziurze! W tej szwajcarskiej dziurze leży pies pogrzebany. Piotr napisał do mnie parę dni temu. Wiesz, to dla niego sprawa sentymentalna, jeszcze jego ojciec rozpoczął te prace, zresztą opowiadał ci o tym tysiąc razy...

- Poważnie się w to zaangażował, prawda? - zauważyła Ewa.

Istotnie. Piotr Dubois właściwie wyprowadził się z Polski; ostatnio widzieli się zeszłej Wielkanocy. Mówił wówczas wyłącznie o absydach i transeptach.

- O wiele za bardzo - potwierdziła Marianna. - I rzekłabym, że to jego problem, gdyby nie to, że skończyła mu się forsa. Kanton obiecał dofinansowanie, ale na razie musi wziąć kredyt pod zastaw naszego kapitału. Nie mogę mu odmówić, to ostatecznie także jego pieniądze. I tu dochodzimy do sedna. Piotr potrzebuje moich pełnomocnictw. Skontaktowałam się z Gagosianem, żeby mi poradził, jak to załatwić. Henryk na stałe mieszka w Amsterdamie, a papie-

ry najlepiej przekazać z ręki do ręki. I nie uwierzysz! Okazało się, że będzie w najbliższy weekend w Berlinie! Dlatego chciałam cię prosić, żebyś tam pojechała i...

Ewę zatkało. Odstawiła kieliszek.

- Nie ma mowy. Przykro mi, ale nie. Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile ja mam pracy? Nie mam czasu iść do fryzjera, a co dopiero kulać się za granicę! A poza tym... Zaraz. Przecież ty uwielbiasz Berlin! Dlaczego sama nie pojedziesz? A, chodzi o Jasia, tak? Romantyczny weekend? Na jego gruncie?

- Dla ciebie pana Jasia, smarkulo - Marianna przeszła do kontraktaku. - A poza tym w świetle prawa jesteś moją córką i powinnaś mnie słuchać. Jak mówię, że maszjechać i zadbać o rodzinne interesy, to odpowiadasz: „tak jest!” i wskakujesz w pociąg, jasne? Jutro jest piątek, w niedzielę będziesz z powrotem. Hotel masz opłacony. A tu... - Marianna pogrzebała chwilę w torebce i wyciągnęła z niej żółty kartonik - ...twój bilet. *Voilà* - oparła się wygodnie, bardzo z siebie zadowolona.

- No wiesz, stosujesz argumenty poniżej pasa... - zaprotestowała słabo Ewa. - To nie sąd! Zlituj się, Marianna! Ja naprawdę nie mogę! A gdybym miała randkę w sobotę?

- Ale nie masz - ucięła ciotka bezlitośnie.

- Malwa wyjechała! A Błażej musi jeść - marudziła Ewa.

- O kota zadba ten twój kolega, jak mu tam - Rys? Żbik?

- Komisarz Adam Wilczek, jeśli łaska. O ile alergią go nie zabije, jak ostatnim razem.

- Przeżyje. Kochanie, nie owijajmy w bawełnę. To oczywiste, że mogę to załatwić w inny sposób. Ale to świetny pretekst, żeby trochę odpocząć. Należy ci się weekend z dala od szefa! To taki mój walentynkowy prezent.

Ewa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, nagle nabrała strasznej ochoty na wyjazd. W Berlinie nawet w lutym jest milej niż w Warszawie, przeklętym mieście przeciągów. No i czeka gościnną „Murena Café”... i wspom-

nienia praktyk... i Paul o aksamitnym głosie... i aksamitnych ustach... Ale jednak tekst na poniedziałek...

- Pożyczę ci laptopa - Marianna jakby czytała w jej myślach.

Aby przypieczętować zwycięstwo, postanowiła użyć ostatecznego argumentu: miażdżącego, nieodwołalnego jak przeznaczenie i zabójczego jak kurara. Przynęła się nieco do pogrążonej w myślach bratanicy i zniżyła głos do szeptu:

- Wypredaże... - tchnęła niemal niedosłyszalnie.

Ewa otworzyła oczy niczym wzbudzony elektrycznością Frankenstein.

- Jadę - oznajmiła z determinacją.

W zaciemnionej sali słyhać było jedynie cichy szum rzutnika i spokojny głos komentującego pokaz mężczyzny. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. A zebrani widzowie jakby wstrzymali oddech.

- To Berlin. A przedtem Amsterdam, Marsylia, Hamburg.

Slajdy przedstawiały zrujnowane wybuchami budynki, kupy poskręcane go żelastwa i niezidentyfikowane zwęglone obiekty.

- Na pierwszy rzut oka nie związane ze sobą przestępcze porachunki. Różne miasta, ba, kraje, ofiary działały w różnych branżach... A jednak... - kolejny slajd przedstawiał ułożone obok siebie dziwne metalowe elementy - ...łączy je to. Poznajesz, Theo?

- Wygląda na jakiś rodzaj miny przeciwpiechotnej, panie Aston... sir - odpowiedziała ciemność.

- Nie inaczej. To zmodyfikowany „skoczek” wyposażony w zapalnik zegarowy. Panom mniej obeznanym z zagadnieniem wyjaśnię, że to świństwo oprócz ładunku

wybuchowego zawiera dużą ilość stalowych kulek. Odpalona bomba skacze na wysokość mniej więcej metra i eksploduje, siejąc nimi na sporą odległość. Przechodzą przez ludzkie ciało jak przez marcepan. Zwiększa to kilkakrotnie siłę rażenia takiej bomby. I daje o, takie skutki.

Następna seria slajdów przedstawiała potwornie zmasakrowane zwłoki.

- Zefara „Hosę” zidentyfikowano dopiero na podstawie badania DNA - oznajmił rzeczowo głos. - Sądźmy, że te bomby są jakby... rodzajem podpisu.

Sala w milczeniu kontemplowała obrazy.

- Naszym zdaniem to zaplanowany terror. Zwracam waszą uwagę na precyzję w doborze celów. Gina spekulanci, przemytnicy, handlarze ruską amunicją, właściciele burdeli. Ale włos z głowy nie spadł niemieckim rezydentom chińskiej triady, japońskiej jakuzi czy rosyjskiej mafii. Na celowniku znalazły się wyłącznie płotki.

Ujęcia trupów zastąpiła seria portretów.

- Fritz „Dum-Dum”... Horelek... Jean La Fayette... Zefara już poznaliście... Lokalne, choć dobrze prosperujące gangi. Dżafer Horn, król przemytników... Taak...

Głos umilkł na chwilę, jakby jego właściciel zapatrzył się w wyświetlane właśnie dziobate oblicze Horna.

- Właśnie to zwróciło naszą uwagę - podjął po chwili. - W wydziale ukuliśmy na ten temat pewną teorię. Nieoficjalnie nazywamy ją teorią wielkiej ryby. A wiecie dlaczego? - zaciemniona sala odpowiedziała ciszą. - Otóż wygląda na to, że w półświatku niewielkich, często etnicznych organizacji przestępczych o wąskich specjalizacjach pojawił się naprawdę duży gracz. Kimkolwiek jest, zaczął połykać małe przedsięwzięcia - jak duża ryba połyka płotki, stale rosnąc w siłę. Wymusza, grozi, morduje - ma swoje metody. Naszym zdaniem, przez ostatnie pół roku podporządkował sobie już kilkadziesiąt grup przestępczych w całej Europie. Proszę o światło.

Pokaz dobiegł końca. Pięciu mrugających w nagłej jasności widzów spoglądało bez słowa to na siebie, to na szpakowatego mężczyznę przy rzutniku.

- Nie wiemy, kim jest ten gracz - powiedział cicho szpakowaty. - Znakomicie się kamufluje. Przypuszczamy, że to osoba o nieprzeciętnych zdolnościach przywódczych i organizacyjnych, wyedukowana w zakresie nowoczesnego zarządzania oraz makro- i mikroekonomii, z dużym stażem w którejś z istniejących organizacji przestępczych. Nie wykluczamy, że pochodzi z Europy Wschodniej lub Środkowej. Dla wygody nazywamy go Der Hai - Rekin.

Mężczyzna wsparł się o stół.

- Szczerze mówiąc, centrala uważa, że Der Hai nie istnieje. Ha, może faktycznie przestępcy wariują od nadmiaru rtęci w wodzie pitnej i wyrzynają się nawzajem bez wyraźnego powodu? A może skomplikowana sytuacja międzynarodowa wywołuje u odciętych od korzeni gangsterów zespół maniakalno-depresyjny? A może sami się wysadzają bombami i duszą drutem kolczastym? Może chcą zaprotestować przeciwko ostracyzmowi i nietolerancji zachodnich społeczeństw?

Mówca zrobił efektowną pauzę.

- Osobiście uważam, że jesteśmy świadkami narodzin nowej, ponadnarodowej przestępczej korporacji - podjął po chwili. - Ta organizacja jest szczególna, bo budowana od podstaw według sprawdzonych biznesowych zasad. Działania Rekina można porównać do działań każdego monopolisty: przejmuje słabsze przedsiębiorstwa, a jak nie może przejąć - niszczy. Jakies pytania? - Szpakowaty rozejrzał się po sali.

- Z całym szacunkiem, dlaczego właśnie my, panie Aston? - zapytał wreszcie z ociąganiem młody, najwyżej dwudziestoletni chłopak z dziewiczym rumieńcem na policzkach.

- Jesteście młodzi, bystrzy, utalentowani, po prostu elita naszej organizacji...

- Sir! - rumieniec na twarzy chłopaka jeszcze się pogłębił.

- ...gównie prawda - ciągnął Martin Aston, szef Wydziału Wywiadu Kryminalnego Interpolu. - Fakty są takie, że z różnych względów zaleźliście za skórę swoim przełożonym. Niesubordynacja, lekceważenie procedur, molestowanie współpracowników... sami zresztą wiecie, co tam który ma za uszami. Wypożyczyłem więc was do tego hm... projektu pilotażowego bez najmniejszego kłopotu. Aha, każdy z was miał też parę tygodni zaległego urlopu. Już nie macie. Firma funduje wam wakacje.

Miny zebranych wyrażały różne stopnie niezadowolenia.

- Jeszcze coś? - Aston przewiercił ich kolejno wzrokiem.

- Jeśli dobrze rozumiem, sir, nie uczestniczymy w oficjalnym dochodzeniu Interpolu - odezwał się smagły, ubrany na czarno mężczyzna siedzący najbliżej Astona.

- Nie, Mahir. Powtarzam, że mimo jakże interesujących poszlak centrala nie znalazła wystarczających przesłanek dla wszczęcia śledztwa - odrzekł zapytany z lekkim przekąsem. - Taka akcja, zakrojona na szeroką skalę, wymagałaby przecież ogromnych nakładów finansowych, uruchomienia zasobów ludzkich, którymi w obecnej chwili nie dysponujemy. Wobec priorytetu walki z terroryzmem inne kwestie schodzą na plan dalszy.

- Ależ sir, jeśli pańskie podejrzania są słuszne, jeśli Der Hai rzeczywiście istnieje, to za kolejne pół roku będziemy mieli do czynienia z międzynarodową organizacją przestępczą działającą sprawniej niż sycylijska mafia. I to na dużo większą skalę - zauważył spokojnie zwalisty, czarnoskóry mężczyzna siedzący obok Mahira. - Trudno sobie wyobrazić, byśmy w pięciu byli w stanie skutecznie temu przeciwdziałać.